

**XII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka - KOZIENICE 2014
Daria Wicka-Kaszubowska - kategoria dorośli - proza - wyróżnienie**

Żydówka Sara

– Jesteś piękna niczym Batszeba, zwinna niczym Moabitka Rut i mądrzejsza od Judyty – szepcze Joel między jednym pocałunkiem a drugim.

Mówią, że miłość jest ślepa. Sara Blummer nie jest ani ładna, ani zgrabna, ani błyskotliwa. Błada twarz gubi się w gęstwinie kruczonych włosów, nos jest odrobinę zbyt duży i zbyt krzywy, a usta nie jak u księżniczki, lecz jak u żaby. Gdy się porusza, również nie przypomina księżniczki. Długie ręce i nogi są zawadą, więc potyka się i przewraca o wszystko. W dodatku jest zbyt nieśmiała, by mankamenty urody nadrobić inteligencją. Jeśli nawet miewa jakieś myśli godne uwagi, zatrzymuje je dla siebie z obawy przed wyśmianiem.

– Czuję się jak Jakub, gdy schwytał anioła – przyznaje cicho, wtulona w smukłe, ale mocne męskie ramiona, zbyt przerażona, że to sen, który skończy się, gdy choć głośniejsz odetchnie.

– Więc mów, czego pragniesz – odparł, głaszcząc jej plecy swoimi miękkimi dłońmi filologa, naprawdę gotowy, by spełniać dziś życzenia nieśmiałych Żydówek.

– Żebyś zawsze mnie tak kochał...

Ale życie nie jest biblijną historią, gdy ktoś za mało wierzy w Boga, a za dużo w siebie. Miłość Joela wypala się tuż po ślubie, a może nawet i wcześniej, choć Sara, zaprzątnięta myślą o przygotowaniach do wesela i o małżeńskiej wyprawce, nie dostrzega, jak namiętne lato zmienia się w deszczową jesień. Nadejście jesieni zauważa dopiero, gdy z czarnych, przepastnych oczu płyną pierwsze krople deszczu.

Joel ma kochankę. O, jak łatwo, jak zbyt łatwo, wyobrazić sobie Joela całującego usta tamtej, szepczącego tamtej na ucho te same komplementy o Batszebie, Rut i Judycie, zapewniającego, że spełni życzenia wiecznej miłości. *Wiecznej* miłości czy *wietrznej* miłości, skoro słowa rzuca na wiatr? Sara nie potrafi nawet z nim o tym porozmawiać. Nie mówi: „wiem, że mnie zdradzasz”. Nic nie mówi. Udaje, że nic się nie dzieje. Tylko nocami, gdy leży przy mężu jak przy obcym człowieku,

zasłuchana w jego spokojny, głęboki oddech, tak spokojny, jakby miał zupełnie czyste sumienie, tylko wtedy pozwala sobie na cichutki płacz.

Dlatego Sara niemal cieszy się, gdy nadchodzi prawdziwa jesień, a wraz z nią wojna i getto, do którego trafiają oboje, i Sara, i Joel, ale do którego nie trafia tamta kobieta. Jak dobrze mieć znów swojego Joela tylko dla siebie!

Getto jest piekłem i Sara pojmuje to aż nazbyt szybko. Mieszkanie ma dwa wilgotne pokoje i jeszcze bardziej wilgotną kuchnię, które trzeba podzielić na jedenaścioro ludzi, w tym dwoje staruszków oraz robotnika Onana, jego żonę i pięcioro rozkrzyczanych dzieciaków. Do jedzenia: pół bochenka chleba na dwa dni. Wszyscy robią wszystko, by zdobyć żywność. Sara sprzedaje swoją złotą obrączkę, potem, bez pytania, również obrączkę męża. Nawet dzieciaki Onanów żebrzą po ulicach. Tylko Joel przesiaduje całymi dniami na wąskim tapczanie i patrzy w ścianę, jakby nie widział, nie chciał widzieć, tego co dzieje się wokół. Tuż pod nosem ma okno wychodzące na ulicę tak zatłoczoną, że nawet nie widać brudu, pełną obdartych dzieci, staruszków ledwo włączających nogami, kobiet z płaczącymi dziećmi na rękach, trupów, które na nikim już nie robią wrażenia. Ale Joel nie patrzy na ulicę. Splata swoje blade, miękkie dłonie filologa na brzuchu i całymi dniami patrzy tylko w ścianę.

– Joel... Joel... – błaga Sara i próbuje go podnieść z tapczanu, by zrobił cokolwiek, ale by tak nie siedział. Joel przegryza kawałek chleba. Współżyje z żoną tak głośno, jakby zapomniał, że za ścianą swoje koszarne sny z getta śnią lokatorzy. Czasem wykrzykuje imię tamtej, ale to już nieważne. Sara próbuje przytulić się do męża, ale jego smukła, mocna sylwetka, która kiedyś tak jej się podobała, w którą tak przyjemnie było wtulić się w nocy, teraz jest chuda i koścista. Żebra uwierają ją w skroń. Klatka piersiowa unosi się w świszczącym, słabym oddechu.

– Jeszcze trochę... Jeszcze tylko trochę... Dasz radę...

Akuszerka blada z przejęcia, z niewyspania lub z głodu, czeka u rozchylnych nóg Sary, podczas gdy Sara leży na tapczanie, jęcząc z bólu. Joel, pozbawiony swojego zwykłego miejsca odpoczynku, siedzi skulony pod ścianą. Jest jedyną osobą w tym mieszkaniu, której nie udzielają się emocje.

– Dasz radę...! – powtarza akuszerka.

Dzieci Onanów tłoczą się u drzwi z rozdziawionymi buziami, a matka bezskutecznie próbuje je odpędzić.

Nagle rozlega się wrzask.

– Syn! – oznajmia akuszerka z triumfem, pokazując wszystkim pomarszczonego, umazanego krwią noworodka. Dzieciaki Onanów krzyczą z przejęcia. Sara płacze. Tylko Joel wzrusza ramionami.

Kiedy wreszcie chłopiec, owinięty w połatane szmatki, dostaje się w ramiona Sary, ona jest jednocześnie i szczęśliwa, i przerażona. Dziecko jest najpiękniejsze w świecie, mimo zapuchniętych oczu, pooranej paznokciami twarzy i niekształtnej główki. Akuszerka odchodzi, zadowolając się zapłatą w postaci śmierdzącej ryby. Na brzegu tapczanu siada pani Anielak, staruszka z sąsiedniego pokoju. Kiwa głową z troską.

– Oto bowiem przyjdą dni, kiedy mówić będą: Szczęśliwe nieplodne łona, które nie rodziły, i piersi, które nie karmiły – mówi jakby do siebie, ale Sara zbyt wyraźnie słyszy każde słowo. I potem te słowa towarzyszą jej przez każdą minutę każdego długiego dnia.

Czy można wyżywić dziecko, gdy samemu nie ma się co jeść? Sara z rozpaczą miętosi swoje piersi, chcąc wycisnąć z nich choć kilka kropel mleka. Chłopiec, którego nazwała Aaron, krzyczy wniebogłosy. Jest głodny. Jak wszyscy w tym przeklętym getcie. Sara z rozpaczą obserwuje, że z każdym dniem z krągłego, milutkiego w dotyku dzieciątka zmienia się w coraz chudszy szkielecik.

– Zrób coś! Błagam cię, zrób coś! – krzyczy do Joela, szarpie go za ramię, potrząsa, rzuca się do nóg w ofierze błagalnej.

Joel tylko wzrusza ramionami.

Sara, ta sama Sara, która nigdy nie przejawiała oznak błyskotliwości, teraz ma tysiąc błyskotliwych myśli na minutę. Położyć poduszkę na tej małej, pomarszczonej, krzyczącej z głodu buźce, przycisnąć, stłumić ten krzyk, czekać, aż zacznie cichnąć i cichnąć, kwilić coraz słabiej, aż wreszcie zaśnie. Wyjść z nim na ulicę i błagać ludzi, by dali trochę mleka, może się zlitują widokiem chudziutkiego noworodka, ale przecież nikt tutaj nie ma mleka, bo piekło to nie miejsce mlekiem płynące. Zostawić synka z Joelem, a samej wyjść z domu, iść i iść przed siebie, aż do bramy getta, usiłować wyjść na ulicę, czekać, aż strażnicy

strzelą w głowę i skrócą tę mękę, ale co wtedy stanie się z Aaronem, ojciec gotów zapomnieć o nim i zagłodzić na śmierć.

Co robić?

Gdy akuszerka przynosi wiadomość o polskiej rodzinie, która może przyjąć Aarona jak własnego syna, Sara nie waha się ani minuty. Kosz po ziemniakach ścieli szmatkami, by maluszkowi było wygodnie, okrywa go kocem, bo noce teraz takie chłodne, na koniec wciska jeszcze pacynkę, którą uszyła dla niego z kawałka prześcieradła, gdy jeszcze siedział bezpieczny w jej brzuchu. Ostatni raz patrzy w krągłe, czarne oczy, wpatrzone w jej twarz, jakby była całym światem, zanim ostrożnie przykrywa synka kocykiem.

Widzi przez okno, jak akuszerka niknie na rogu ciemnej ulicy z dużym koszem w ręce, i z jej piersi wyrywa się nagle żalosne wycie.

– To z radości – kwituje pani Onanowa, zazdrosna może, że to nie jedno z jej dzieci zostało uratowane.

Sara daleka jest od radości.

Joel odbiera sobie życie kilka miesięcy później. Sara budzi się rano, niepewna, po co właściwie wstawać z łóżka, skoro dziś może być tylko jeszcze gorsze niż wczoraj, a jutro nigdy nie nadchodzi, i pierwszą rzeczą, jaką widzi po przetarciu oczu jest ciało Joela zwisające z klamki u drzwi. Twarz, którą zawsze uważała za przystojną, a która przez ostatnie dwa lata zrobiła się brzydka i ziemista jak u starca, teraz wygląda upiornie.

Pogrzeb wygląda jeszcze bardziej upiornie. Sara ubiera Joela w najlepsze ubranie i wyciąga go za ręce na ulicę. Jego chude, ale mimo to ciężkie ciało tłucze się o stopnie schodów, głowa uderza o barierkę, but gubi się gdzieś po drodze na chodniku i Sara z przykrością zauważa, że w skarpetce męża jest dziura. Jak może być pochowany w dziurawych skarpetkach? Dwie ulice dalej czeka wóz pełen trupów. Dwóch grabarzy wrzuca Joela na szczyt. I nawet się śmieją, czy to z powodu tych skarpetek czy z fioletowej twarzy wisielca, a może z cichej, przerażonej Sary? Stos ciał wygląda jak gałęzie obleczone ludzkim mięsem.

Sara nawet nie płacze. Łzy to woda, a nawet woda w getcie jest na wagę złota i nie wolno jej wylewać nad jakimś pogrzebem. Chce się pomodlić, ale nie może przypomnieć sobie słów żadnej modlitwy.

Niedługo potem ginie pani Onanowa. Poszła odebrać paczkę z żywnością, którą regularnie podsyłała dla niej znajoma z aryjskiej strony i już nie wróciła. Czy zobaczył ją strażnik i zabił jednym celnym strzałem? Czy to może ktoś na ulicy zorientował się, że kobieta niesie kosz z jedzeniem, po czym gromada głodnych ludzi rzuciła się na nią jak stado wilków, pochłaniając nie tylko chleb, kielbasę i surowe ziemniaki, ale też obdzierając ze skóry walczącą bezsilnie kobietę? A może nagle straciła siły, była przecież już tak słaba, piła wodę z solą, by dzieciom dać plasterki kielbasy, teraz siły opuściły ją zupełnie, zatoczyła się i zemdląca? Pan Onan rozpoczyna poszukiwania, gdy tylko wraca z szopu i zastaje puste miejsce w zatłoczonej kuchni. Ale pani Onanowa znika, zupełnie tak, jakby nigdy nie istniała.

– Zostałem sam... Zostałem zupełnie sam... – szlocha, przewracając się na krzesło w kuchni, którą zajmują Onanowie. Dzieci już śpią, bo Sara ukoila ich głodne żołądki szklanką ciepłej wody.

– Adonai nas opuścił! – żali się mężczyzna, jakby był szóstym małym dzieckiem, również potrzebującym ukojenia, a nie głową rodziny, która ukojenie przynosi. Sara się nie dziwi. Zdążyła poznać mężczyzn, gdy poznała Joela.

Teraz stoi obok, niepewna, czy oczekuje się od niej, by została, czy żeby wyszła. Wkrótce jednak rozumie, czego się od niej oczekuje. Onan podnosi głowę i spogląda na stojącą obok chudą i brzydką dziewczynę, jakby dopiero co ją zobaczył. Potem przyciąga ją do siebie.

Stół jest twardy i wbija się w plecy, męskie ciało śmierdzi kilkudniowym potem, a dłonie są szorstkie jak ircha. Dzieci śpią cicho w swoich łóżkach. Śpią albo udają, że śpią, przemyka Sarze przez myśl, ale teraz to prawie nie ma znaczenia. Znaczenie ma tylko to, że z każdym ruchem coraz bardziej wnika w tę rodzinę. Jakby nigdy nie było pani Onanowej, jakby zawsze była tylko ona, Sara Blummer.

– Saro! Jest dla ciebie miejsce po aryjskiej stronie!

Kobieta mówi szybko, z podnieceniem, ale bardzo cicho, obawia się, że na zwrot „miejsce po aryjskiej stronie” tłum rzuci się na nią jak tonący na brzytwę.

A tłum jest straszny. Skuleni jedni obok drugiego w sposób, który przypomina Sarze skulonego pod ścianą Joela, wodzący wokół niewidzącym wzrokiem, o twarzach w kolorze ziemi, a oczach w kolorze strachu. W szponach rąk ściskają torby, z których wystaje pospiesznie spakowany dobytek.

Do Sary ciśnie się sześć głów: pięcioro dzieci i mężczyzna.

– Nie zostawię rodziny – mówi Sara.

A potem wszyscy idą do pociągu.